



## Choroba postmodernizmu cz. I

Od dawna interesowały mnie relacje pomiędzy ekonomią a ekologią i z wielkim zapałem zapoznawałem się z produkcją naukową w tej dziedzinie.

Początkowo nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co się dzieje. Uczestniczyłem w konferencjach w Europie i w USA, na których występowali bardzo elokwentni mówcy, wypowiadający opinie o niegodziwości bogatych i głupocie tych, którzy niszczą przyrodę. Często zgadzałem się z tymi opiniami, ale dopiero z czasem zorientowałem się, że nie mają one nic wspólnego z nauką. Bogaci rzeczywiście bywają niegodziwi, ale to widzi każdy wrażliwy człowiek. Nie trzeba do tego żadnych badań naukowych. Natomiast od naukowców – ekonomistów, psychologów, czy ekologów – oczekuje się, że potrafią zastosować właściwy dla swych dyscyplin aparat pojęciowy, żeby wyjaśnić, dlaczego bogaci robią to, co robią. Ale tym moi uczeni znajomi już się nie zajmowali, uważając, że podział na dyscypliny naukowe jest reliktem dziewiętnastowiecznym i nie licuje z etosem nauki postmodernistycznej.

Przez kilka lat jeździłem na konferencje International Society for Ecological Economics (ISEE). Od połowy lat dziewięćdziesiątych przestałem, zorientowawszy się, że są to zgromadzenia ludzi przekonanych o własnej nieomyślności, którzy poprzestają na dzieleniu się opiniami poprawnymi politycznie, bez jakiegokolwiek refleksji naukowej. Dopiero później dowiedziałem się więcej o postmodernizmie i o tym, jak tej pladze uległa znaczna część środowiska akademickiego w ogóle, a nie tylko w znanych mi lepiej obszarze.

Nonsensowność wypowiedzi postmodernistycznych jest porażająca. W ekonomii ekologicznej może to wyglądać tak:

Zarówno podejście **człowiek ponad przyrodą**, jak i holistyczne podejście **człowiek zanurzony w przyrodzie** odzwierciedlają niezrozumienie natury relacji **Ja i Ty**, niezrozumienie tego, jak osoba ludzka może tkwić jednocześnie w porządku przyrodniczym i społecznym, a przy tym zachowywać swoją indywidualność i odrębność. Myśl feministyczna traktuje ową izolację (podstępne odseparowanie) jako szczególnie ograniczającą i groźny sposób postrzegania ludzkiej tożsamości ze szkodliwymi implikacjami zarówno dla relacji pomiędzy ludźmi a przyrodą, jak i dla relacji pomiędzy mężczyznami a kobietami. My, mężczyźni i kobiety, stanowiąc ciągłość z ucieleśnieniem i zanurzeniem w przyrodzie, zachowujemy jednak świadomość i aktywność w decydowaniu o własnym życiu. [Przekład własny artykułu Julie A. Nelson, *Feminism, ecology, and the philosophy of economics*, Ecological Economics, 20 (1997), s. 155–162].

Początkowo przysłuchiwałem się takim wypowiedziom z uwagą i w dobrej wierze. Jednak w końcu miarka się przebrała, kiedy na którejś konferencji mówca plół od rzeczy, a zebrani oklaskami potwierdzili trafność jego uwag w kontekście ratowania przyrody przed kapitalistyczną grabieżą. Zrozumiałem, że to nie

jest właściwa droga poznania naukowego. Przestrzegam swoich studentów przed kontaktami z takim środowiskiem, bo wiem, że łatwo jest się pogryźć w atmosferze zniechęcenia wobec nauki (która nie potrafi zlikwidować na świecie nędzy i niszczenia przyrody) i zdobyć poklask na skutek głoszenia populistycznych haseł. Przekonałem się ostatnio, że nie tylko ja wziętem rozbrat z International Society for Ecological Economics, którego byłem współzałożycielem.

Rozróżnienie pomiędzy sędami apriorycznymi i poznaniem naukowym pozwala na określenie tego, co jest wartościowe w ekonomii, na której znam się lepiej niż na innych dyscyplinach. Według powszechnie przyjętej definicji Lionela Robbinsa [*An Essay on Nature and Significance of Economic Science*, Macmillan, London 1932], ekonomia traktuje o tym, jak ludzie wybierają. Tymczasem stwierdzenia postmodernistyczne są zazwyczaj sędami wartościującymi (np. o niegodziwości bogatych) albo postulatami normatywnymi (np. mądry powinien chronić przyrodę). Mogę być zaszokowany, że ludzie chcą płacić za jakiś idiotyczny towar dużą kwotę, ale – jako ekonomista – mam obowiązek przyjąć to do wiadomości i starać się wyjaśnić za pomocą dostępnych metod naukowych. Ekonomista z prawdziwego zdarzenia nie stara się ludzi nawrócić na drogę cnoty (choć jako obywatel może, a nawet powinien), tylko wyjaśnia, od czego zależy to, co da się zaobserwować.

W nauczaniu ekonomii borykam się z trudnościami spowodowanymi tym, że wielu moich studentów nie odróżnia tego, co jest poprawne politycznie, od tego, co wymaga argumentacji naukowej. Utrzymując na przykład, że bogaci powinni zapłacić więcej – być może – mają rację, ale do tego nie trzeba kończyć studiów. Ekonomista tymczasem powinien umieć zbadać, czy większe obciążenie bogatego lepiej służy dobrobytowi społecznemu, czy nie. Dopiero w przypadku odpowiedzi twierdzącej, można taki sąd uznać za naukowy, a nie aprioryczny. Wiele swoich wykładów organizuję właśnie w ten sposób, by zainteresować słuchaczy przytoczeniem jakiegoś sądu poprawnego politycznie, żeby go potem zakwestionować na gruncie nauki. Niestety na egzaminie otrzymuję często odpowiedzi, z których kilka tygodni wcześniej cała klasa się śmiała.

Studenci, z którymi bliżej współpracuję, a zwłaszcza magistranci i doktoranci, umieją odróżnić sąd aprioryczny od naukowego. Ale część z nich buntuje się przeciw standardom przyjętym w rozpowszechnianiu nauki. Nie mogą pogodzić się z tym, że dobra publikacja zostaje przez redakcję odrzucona, natomiast ukazuje się błaha, tyle że ze znanym nazwiskiem. Mnie również to boli, ale staram się przekonać, że jest podobnie jak z demokracją: trudno się nam zgodzić, że głos jakiegoś idioty lub menela waży dokładnie tyle samo, co mój, a jednak system niedemokratyczny byłby jeszcze gorszy.

TOMASZ ŻYLICZ

Uniwersytet Warszawski  
Wydział Nauk Ekonomicznych

# Klimatyczna apokalipsa?

Zakończył się – obradujący od 3 do 15 grudnia 2018 roku – szczyt klimatyczny w Katowicach. Zwolennicy antropogenicznej hipotezy globalnego ocieplenia się klimatu ostrzegają – „mamy tylko 12 lat na uniknięcie katastrofy klimatycznej”, której stawką jest przetrwanie albo zagłada naszej cywilizacji. Prestroga jest po prostu apokaliptyczna, to faktycznie nowa data końca świata. Nie ma co wyszczególniać zagrożeń, znamy je dobrze ze środków masowego przekazu, gdzie występują często jako sensacyjne newsy.

Hipoteza globalnego ocieplenia się klimatu stanowi przedmiot ożywionych dyskusji w środowiskach naukowych (co jest zrozumiałe), a także wśród polityków (co również nie dziwi). W dyskusjach stawiane są najczęściej pytania:

- czy zmiany klimatu są wynikiem działalności człowieka?
- jaka jest skala i tempo zmian?
- czy będzie możliwe dostosowanie się środowiska naturalnego do nowych warunków życia?

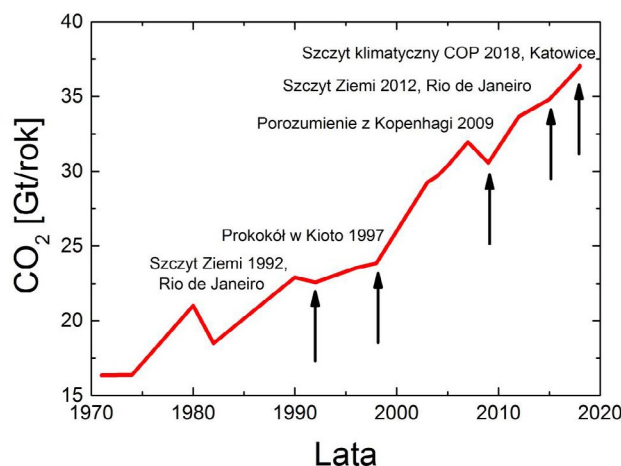
Niestety, na podstawie obecnego stanu nauki o klimacie nie możemy udzielić całkiem jednoznacznych odpowiedzi. Pojawiła się wyraźna polaryzacja stanowisk. Pogląd, że zjawisko globalnego ocieplenia się klimatu jako wynik działalności człowieka zostało udowodnione naukowo, a jego skutki zahamują rozwój cywilizacyjny, reprezentuje wpływową i liczną grupą członków Międzynarodowego Panelu do spraw Zmian Klimatu (Intergovernmental Panel on Climate Change – IPCC), powołanego w 1988 roku przez World Meteorological Organization, działającą pod auspicjami ONZ i finansowaną przez tę organizację.

Odmienne poglądy, że ocieplenie antropogeniczne jest małe wobec naturalnych zmian klimatycznych, wyraża grupa uczonych tworzących organizację non-profit Nongovernmental International Panel on Climate Change – NIPCC. Podstawowym dokumentem jest raport „Nature”, *Not Human Activity Rules the Climate, 2008*. Pogląd ten jest popularny zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych.

W 1992 roku 165 krajów podpisało porozumienie o stabilizacji do roku 2000 koncentracji gazów cieplarnianych w atmosferze. Czterdzieści trzy kraje uprzemysłowione zgodziły się na takie zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych, by do roku 2000 pozostawała ona na poziomie z roku 1990. Porozumienie to nie zostało dotrzymane przez żaden kraj. W 1997 roku kraje te przyjęły nowe zobowiązania – w ramach *The Kyoto Protocol* – o obniżeniu emisji w 2012 roku o 5% w stosunku do emisji z 1990 roku. Efektem był postępujący wzrost emisji w kolejnych latach. W roku 2015 przyjęto *The Paris Agreement*, którego głównym celem było zatrzymanie wzrostu średniej temperatury atmosfery na poziomie poniżej 2°C względem poziomu z czasów przedprzemysłowych. Porozumienie weszło w życie 4 listopada 2016 roku po ratyfikacji przez 55 krajów emitujących co najmniej 55% globalnej emisji gazów cieplarnianych. Według oszacowań oznacza to zobowiązanie do ograniczenia emisji o 80% do roku 2030 i zapewnienia w 2050 emisji na poziomie zero netto. Podczas konferencji w Katowicach – na podstawie opracowania *The Special Report on Global Warming of 1,5°C*, opublikowanego przez IPCC 8 września 2018 – postulowano, by do roku 2050 obniżyć poziom ocieplenia o 1,5°. Podkreślono hipotezę, przyjętą wcześniej za udowodnioną naukowo, że klimat Ziemi ulega ciągłemu ocieplaniu, a za główną przyczynę uznano emisję

gazów cieplarnianych, przede wszystkim CO<sub>2</sub>, jako wynik działalności człowieka. **A jak wygląda rzeczywistość?**

Zmiany emisji dwutlenku węgla od 1970 roku przedstawia poniższy wykres (uaktualnione dane wg *BP Statistical Review of World Energy, June 2018* oraz *International Energy Outlook 2018, US Energy Information Administration*).



Opublikowana 28 stycznia 2019 roku przez „New Scientist” prognoza, opracowana przez *Met Office Hadley Centre for Climate Science and Services in UK*, przewiduje dalszy wzrost koncentracji CO<sub>2</sub> w atmosferze o około 2,8 ppm (w 2019 roku) – do poziomu 411 ppm. Światowa emisja dwutlenku węgla wzrosła o 2,7% w 2018 roku w porównaniu z rokiem 2017. Coraz częściej jednak pojawiają się opinie, że prognozy IPCC zawierają istotne błędy metodologiczne. Zatem, jak dobitnie napisał Y. N. Harari w książce *Homo deus. Krótka historia jutra* (WL, Kraków 2018): „Całe to gadanie o globalnym ociepleniu, najrozmaitsze konferencje, szczyty, protokoły – wszystko to dotychczas nie ograniczyło globalnej emisji gazów cieplarnianych... Poziom emisji spada jedynie w okresach zastoju i kryzysów ekonomicznych”.

Wykres ten wskazuje więc, że istotnie działalność człowieka ma znaczenie dla zmian klimatycznych. Ale wskazuje również, że działania polityczne są, jak dotąd, całkowicie bezskuteczne.

Trudno się temu dziwić: dążenie do osiągnięcia celów *The Paris Agreement* oznacza m.in. zaprzestanie w nadchodzących latach wydobycia węgla na całym świecie, czego skutkiem będzie zamykanie elektrowni węglowych. Tymczasem sytuacja wygląda tak, że chociaż rząd Niemiec podjął kilka dni temu decyzję o likwidacji przemysłu węglowego do roku 2038, to równocześnie rząd Chin przystąpił do finansowania budowy kilkudziesięciu elektrowni węglowych w Afryce, Azji oraz na Bliskim Wschodzie.

Według *The Paris Agreement* przyszłość to czyste odnawialne źródła energii, inteligentne sieci, elektryfikacja transportu, domy zero- i plusenergetyczne. **Cele niemożliwe do osiągnięcia w tak skłóconym świecie** W tym stanie rzeczy trzeba niestety skonstatować, że spór o przyczyny globalnego ocieplenia okazuje się czysto akademicki. Jeżeli postęp nauki nas nie uratuje, umożliwiając złagodzenie lub dostosowanie się do nadciągających zmian klimatycznych, cywilizację czeka katastrofa. **Może więc, zamiast liczyć na działania polityków, zainwestować jednak w naukę?**

# Wątpliwości profana

Lata już trwa dyskusja o tym, jak oceniać rezultaty pracy naukowej – placówek, zespołów, pojedynczych uczonych – w warunkach, gdy staje się ona zajęciem masowym. Jako dziennikarz, zatem ktoś obserwujący sytuację z boku, ale długo, przeżyłam entuzjazm dla pomysłów sformalizowania ocen maksymalnie, ujęcia w algorytmy, bez miejsca na, szczerą choćby, indywidualną opinię, po wyniosłe piętnowanie „punktozy” – ulegając rozmaitym wrażeniom, czasem przeciwstawnym.

Całkiem niedawno („PAUza Akademicka” 457) dwugłos, nieco polemiczny, profesorów Jana Woleńskiego i Andrzeja Białasa o trudnościach w ocenie książek humanistycznych, uprzytomnił mi, chyba definitywnie, daremność wymienionych starań.

Przy masowym pisaniu książek (tak samo jak artykułów z dziedzin przyrodniczych) nie da się uniknąć tego, że znajdują się wśród nich wątpliwej wartości, a nawet żenująco kiepskie. Rękomią wartości jest najpierw autor lub autorzy, dalej środowisko, w jakim pracują, następnie recenzenci z tego środowiska, wreszcie wydawnictwo ze swoimi recenzentami. Każda z osób zaangażowanych w ten proces podlega ocenom, wszystkie ponoszą – nierówną – odpowiedzialność za produkt końcowy. Każdy etap procesu powstawania książki można (pewnie trzeba, jeśli pamiętamy *Psychologię kwantową*, utwór powstały w dobrym instytucie przodującego uniwersytetu) poddać surowszej kontroli. Nie wszystkie dadzą się ocenić w punktach jakiegoś algorytmu, z żadnym oddzielnie chyba nie warto tego próbować.

Prawdopodobnie umasowienie czegoś, co było elitarne, nieuchronnie skutkuje spopolitowaniem, w przypadku nauki obniżeniem poziomu. Ilość wpływa na jakość, inaczej jednak niż mówi o tym marksistowskie prawo dialektyki. Jest to prawidłowość, którą trzeba przyjąć do wiadomości, ale nie wolno się z nią pogodzić. Dopóki będą powstawać książki humanistyczne – skoro o nich ostatnio mówimy – istnieć będzie troska, wszystkich biorących w tym udział, o najwyższą jakość, rodzić się będą pomysły, jak tę jakość poprawiać, i nigdy nie uznamy, że jest taka, by się poprawić nie chciało.

Myślę, że sporą rolę, choć mniejszą niż w przypadku książek literackich, odgrywa krytyka i pamiętam od bardzo dawna utyskiwania na słabość krytyki naukowej. I to ogniwo w łańcuchu łączącym umysł autora, w którym lęgną się twórcze idee, z domową biblioteką czytelnika trzeba doskonalić. Wszelkie jednak wysiłki w tym kierunku nie przyniosą sytuacji idealnej, nawet chyba bardzo dobrej, i niepodobna obiecać, że *Psychologia kwantowa* nigdy więcej nie trafi do księgarń.

Z oceną enuncjacji naukowych (we wszelkich aktualnych formach) wiąże się istotna dla tej sfery ludzkiej aktywności sprawa, mianowicie konieczna czujność wobec tego, co nowe, oryginalne, co nie mieści się w obowiązującym paradygmacie, co pierwszemu wejrzaniu jawi się fantazją autora, rojeniem z zakresu futurologii, zgoła absurdem. Stosunek do takich pomysłów zależy, w chyba nie najmniejszym stopniu, od aktualnego stanu ducha odbiorcy. Bywa, że bardziej folgujemy wyobraźni, kiedy indziej, pod wpływem różnych czynników, bywamy rygorystycznie ściśli. Dotyczy

to recenzentów działających na każdym etapie oceny zarówno idei, jak dzieł.

I chyba nie ma na to rady, że kędyś przemknie jakaś *Psychologia kwantowa*, a także, co gorsza, że zarys przełomowej koncepcji utknie pośród zwątpień zapisanych w algorytmie. Świadomość takiego zagrożenia jest pomocna, choć tylko w części (oby jak największej) skuteczna. Nie powinna stawać się hamulcem krępującym, zwłaszcza ludzi młodych, na początku ich drogi naukowej, kiedy ambicje zwykle przerastają znajomość rzeczywistości i własnych sił.

Wszystko, co wyżej, to właściwie truizmy, które się przypominają przy okazji kolejnej fazy deliberacji o tym, jak sformalizować ocenę wyników w nauce, ta zaś chęć jest częścią powszechniejszego dążenia do ujęcia wszelkiej ludzkiej aktywności w ramy kodeksów, zapisów dobrych praktyk, deontologii zawodowych itp. Niepokoi to teoretyków prawa (wypowiadali się na stronach „PAUzy”) jako znamię swego rodzaju duchowej opieszałości, przedkładania wygody sięgnięcia po przepis nad wysiłek umysłu i sumienia, związany z odpowiedzialnością.

Dłuższe trwanie takiego stanu rzeczy wywołuje, jak się zdaje, rutynę, nawyk mechanicznego postępowania się gotowymi formularzami tak długo, dopóki nie zmieni się radykalnie sposób utrwalania i prezentowania tego, co podlega ocenie. Takie radykalne zmiany są nader rzadkie, toteż poprzestajemy na szlifowaniu formularzy. Że to zjawisko powszechne, wiem z niegdysiejszych kilkunastoletnich doświadczeń Rady Etyki Mediów, kiedy to niewielkie grono rozpatrywało sytuacje na ogół niespecjalnie zawiłe, dające się i opisać i ocenić w powszechnie znanych kategoriach moralnych. Zawsze towarzyszyły temu utyskiwania na zbyt ogólnikowe sformułowania Karty Etycznej Mediów, których nie dawano się wprost dopasować do rozpatrywanego przypadku.

Jeśli dzielę się z czytelnikami „PAUzy” wątpliwościami co do możliwości, ale także co do potrzeby maksymalnego sformalizowania ocen w sferze nauki, to powinnam najskromniej zasugerować sposoby zastępcze. Znowu przywołam, a raczej przypomnę, oczywistości. Jeżeli uznamy, że etyki zawodowe nie są niczym innym jak przepisami wykonawczymi do dekalogu, czy jakkolwiek nazwiemy kanon podstawowych norm, to trzeba zważyć, w jakim stopniu jest on obecny w świadomości powszechnej, szczególnie w świadomości tych, którzy zajmują się ocenianiem owoców ludzkiej pracy i działalności. I niezależnie od rezultatów takiej refleksji, warto upowszechniać (może przypominać) podstawowe normy. Nie ma stąd bezpośredniego przejścia do trafnych, sprawiedliwych i wyczerpujących ocen, ale kształtują się kryteria i można ufać, że zaczną funkcjonować w społecznym obiegu.

Wiem, że wspomnianych wyżej doświadczeń, że w niektórych środowiskach kryteria tego, co godziwe, i tego, co niedopuszczalne, uległy częściowemu zatarciu, że nie przychodzą na myśl w pierwszej chwili, gdy stykamy się z czymś rzeczywistym – lub tylko pozornie – niejednoznacznym. Przypominanie ich w konkretnych sytuacjach (z szerokim adresem) bywa wołaniem na puszczy, ale nierzadko pomaga znaleźć drogę. Nie wolno go zaprzestać.

MAGDALENA BAJER

# Fizyk wymądrza się o sztuce

Wkraczać w obszar tak odległy od moich kompetencji i wykształcenia jak sztuka, to oczywiście przedsięwzięcie dość karkołomne, ale przecież felieton, nawet w tak poważnym tygodniku jak PAUza Akademicka, to tylko felieton, i mam nadzieję, że przyjmiecie Państwo te naiwne wyrzuty z wyrozumiałością. Ośmiela mnie świadomość, że w końcu artyści, choćby twierdzili inaczej, tworzą swoje dzieła dla odbiorców i to niekoniecznie odbiorców fachowych.

W rezultacie wszyscy mniej lub bardziej blisko obcujemy ze sztuką i nawet jeżeli nie mamy odpowiedniej wiedzy, chętnie przyjmujemy rolę krytyków i zabieramy głos, zazwyczaj zresztą narzekając, że sztuka współczesna jest niezrozumiała. To nic dziwnego – wyrażanie takiej opinii jest prawdopodobnie tak stare jak sama sztuka. Dzisiaj w tych narzekaniach pojawia się jednak nowy akcent. Słyszymy coraz częściej, że sztuka stała się byle jaka; że obrazy bardziej przypominają niedbale wykonane bohomyzy niż dzieła artystów; że w teatrach poziom profesjonalny koszmarnie spada, aktorzy i reżyserzy nie zwracają uwagi na jakość gry, dykcję, czy dekorację, liczy się bowiem tylko wywołanie skandalu (najlepiej takiego, który wywoła interwencję władzy, bo to gwarantuje rozgłos); że język literacki coraz bardziej upodabnia się do potocznego... Takie głosy odezwały się również na łamach PAUzy. Ostatnio w cytowanym przez ABBĘ liście prof. Staruszkiewicza („PAUza” 425).

Można się zastanawiać, czy to zjawisko, które rzeczywiście ma miejsce, jest tylko marginesem i przelotną modą, czy – przeciwnie – będąc logiczną konsekwencją dotychczasowego rozwoju, wskazuje główny kierunek, w którym podąża sztuka naszych czasów. Ta druga możliwość oczywiście martwi takich jak ja, tradycyjnych odbiorców. Nie próbując rozstrzygać tego dylematu, warto może zadać pytanie, gdzie są granice tego procesu i czy w ogóle granice istnieją.

Rzecz jasna, nie znam dobrze historii sztuki, ale chyba nie mylę się zbyt, pisząc, że od samego początku wielką wagę przywiązywano do tzw. warsztatu. Od obrazu lub rzeźby oczekiwano co najmniej poprawnego wykonania pod względem technicznym. Oprócz wyobraźni i talentu, artysta winien był posiadać umiejętność precyzyjnej realizacji i dopracowania nawet najdrobniejszych szczegółów. Miał być dobrym rzemieślnikiem. Znane są starożytne anegdoty o malarzach, którzy prześcigali się w umiejętności namalowania jak najcieńszej linii. Jednym z ważnych zadań było też wierne oddanie natury. I tu również dzieje starożytne pełne są anegdot, jak choćby ta o Aleksandrze Macedońskim, którego Bucefal rozpoznał się na swoim portrecie, wbrew zastrzeżeniom wyraźnym przez jego pana. W czasach nowożytnych do perfekcji

doszła sztuka portretowania, która również wymagała wielkiej biegłości warsztatowej.

Podsumowując, w tych czasach liczył się przede wszystkim warsztat, natomiast sam pomysł obrazu lub rzeźby miał znaczenie drugorzędne. Tematyka była, można powiedzieć, kanoniczna: sceny religijne, portrety, pejzaże.

Gdy malarze zaczęli odchodzić od kopiowania natury, coraz bardziej zaczął liczyć się POMYSŁ. Skrajnie abstrakcyjne obrazy Pollocka są jednak jeszcze bardzo solidnie wykonane i nie da się ich łatwo zniszczyć lub skopiować. To samo dotyczy rzeźb Moore'a czy Picassa. Ale John Pollock zaczął wylewać farbę, zamiast malować, Picasso swoją słynną kozę skonstruował ze starego żelastwa i rupieci.

To, co obserwujemy dzisiaj, jest, jak mi się wydaje, dalszym, konsekwentnym rozwinięciem tej tendencji. Najważniejszy staje się POMYSŁ.

Podobno (słyszałem) ma to swoje uzasadnienie: opanowanie techniki jest dzisiaj znacznie ułatwione ze względu na to, że tajemnice warsztatu wielkich mistrzów przestały być tajemnicami i można się ich zwyczajnie nauczyć. Zaś ogromny postęp w metodach nauczania sprawił, że nawet człowiek średnio utalentowany może poprawnie rysować, malować i rzeźbić, czy występować na scenie, jeżeli tylko znajdzie dobrego nauczyciela i wykaże wytrwałość. Warsztat przestaje być jedynym wyróżnikiem artysty, ponieważ niemal każdy może go z większym lub mniejszym wysiłkiem (i z pomocą coraz lepszych narzędzi) nieźle opanować. Stąd poszukiwanie innych środków wyrazu.

Nie wiem, czy to prawda, ale jeżeli tak, to być może nadejdą czasy, gdy warsztat w ogóle przestanie mieć znaczenie. Decydujący będzie pomysł. Zresztą widzimy już sygnały, że taka sytuacja jest możliwa. Garść obierzyn z ziemniaków, które zirykowały profesora Staruszkiewicza, czy dwa stojące obok siebie sedesy, o których pisał profesor Jajszyzyk („PAUza” 352), należą do tej kategorii.

Czy ta tendencja stanie się dominująca, czy artyści potrafią bez końca ignorować publiczność, czy może jednak nastąpi w końcu jakaś reakcja, długo by debatować. Czas pokaże.

Jeżeli proces ten dojdzie do swojej logicznej, ekstremalnej granicy, to być może dzieła sztuki w ogóle znikną, pozostaną wyłącznie pomysły. Może w przyszłości będziemy kupować jedynie program komputerowy, pozwalający wyprodukować dzieło sztuki za pomocą drukarki 3D (aby zapewnić unikalność dzieła, program oczywiście sam się zniszczy po jednorazowym użyciu). W momencie kupna dostępna będzie tylko wizualizacja. Może będziemy kupować jedynie wizualizację? A może jeszcze inaczej? Wyobraźnia artystów nie zna przecież granic.

ANDRZEJ BIAŁAS

PAUza Akademicka – [www.pauza.krakow.pl](http://www.pauza.krakow.pl) – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

**Rada Redakcyjna:** Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

**Redakcja:** Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

**Adres do korespondencji:** Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: [pauza@pau.krakow.pl](mailto:pauza@pau.krakow.pl)

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.